

stanisław
michalkiewicz

Informacja ogólna
Dz. U. Nr 1 poz. 95 z późn. zmian

TAJNE
spec. znaczenia

PROTECTOR TRADITORUM

Tom 1

Kryptonim „SAM”

Nr ewidencyjny 23214

Nr archiwalny

Kategoria akt

WYDAWNICTWO
von borowiecky

15 maja 1978 r.

10/1

**PROTECTOR
TRADITORUM**

stanisław
michalkiewicz

PROTECTOR TRADITORUM



WYDAWNICTWO von borowiecky

Warszawa 2016

© Copyright by Stanisław Michalkiewicz

© Copyright for this edition by Wydawnictwo von borowiecky, Warszawa 2007

Projekt i wykonanie okładki: www.netstudio.waw.pl

Opracowanie redakcyjne i korekta: Marta Sieciechowicz

WYDAWNICTWO von borowiecky

05-250 Radzymin

ul. Korczaka 9E

tel./fax (0 22) 631 43 93

tel. 0 501 102 977

www.vb.com.pl

e-mail: ksiegarnia@vb.com.pl

ISBN 978-83-87689-96-3

Skład i łamanie: WYDAWNICTWO von borowiecky

Druk i oprawa: BOOKPRESS.EU, ul. Lubelska 37C, 10-408 Olsztyn

Przedmowa

Rzadko się zdarza, by historia zatoczyła tak dokładne koło jak w tym przypadku. Już na samym początku transformacji ustrojowej pojawiły się podejrzenia, iż nasza młoda demokracja może być podszyta agiturą. Dał im wyraz pan poseł Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego Roman Bartoszcze. 6 kwietnia 1990 roku na plenarnym posiedzeniu Sejmu powiedział, że zwłoka z decyzją o przejęciu przez państwo majątku po byłej PZPR jest działaniem celowym, mającym umożliwić zniszczenie dokumentów świadczących o współpracy wielu czcigodnych osobistości ze Służbą Bezpieczeństwa. Na to poderwał się poseł OKP Bronisław Geremek wzywając posła Bartoszcze do natychmiastowego odwołania tego zarzutu. Ten jednak niczego nie odwołał, w każdym razie nie na tym posiedzeniu. Ale już 11 kwietnia 1990 roku, podczas plenarnego posiedzenia Sejmu, pan poseł Bartoszcze wyjaśnił, że jego poprzednia wypowiedź została niewłaściwie zrozumiana, bo tak naprawdę chciał powiedzieć, iż popiera apel premiera Mazowieckiego o „oddzielenie grubą kreską”. Dlaczego zatem powiedział coś zupełnie innego, niż chciał, i co się stało między 6 a 11 kwietnia? Tego pewnie nieprędko, a może nawet już nigdy się nie dowiemy, chyba żeby Bronisława Geremka ogarnęła niepohamowana potrzeba szczerości, co jednak wydaje się niepodobieństwem. „Drogi Bronisław” znany jest bowiem z tego, że gdy jest na schodach, to nigdy nie wiadomo, czy wchodzi czy schodzi.

Niniejsza książka zawiera wybór artykułów i felietonów na temat lustracji, jakie napisałem i opublikowałem na przestrzeni ostatnich 15 lat. Myślę, że na ich podstawie można zorientować się nie tylko w przebiegu batalii o lustrację, która po 15 latach wróciła do punktu

wyjścia, ale również w towarzyszących temu złudzeniach, których stopniowo się pozbywamy. Charakterystyczne jest np. to, że zarówno w roku 1992, jak i 2007 śmiertelny cios lustracji zadał Trybunał Konstytucyjny, chociaż w tym czasie całkowicie zmienił się jego skład. Najwyraźniej nie zmienił się jednak stosunek do lustracji, która jak nie pod jednym, to pod jakimkolwiek innym pretekstem, jest uznawana za sprzeczną z konstytucją i wszystkim, co najświętsze. To znaczy — lustracja „dzika” w odróżnieniu od lustracji „cywilizowanej”. Jaka jest różnica między jedną a drugą? To proste; lustracja „dzika” z zasady dokonuje się „bez względu na osoby”. „Cywilizowana” zaś polega na tym, by osoby z towarzystwa pozostały poza „kręgiem podejrzeń” i w ogóle — by nie stało się im nic złego.

Mimo tych uderzających podobieństw, są oczywiście i różnice. W roku 1992 uchwała lustracyjna objęła funkcjonariuszy państwowych, a i to nie wszystkich, bo np. nie dotyczyła sędziów. W roku 2005 kontrolowane przecieki z Instytutu Pamięi Narodowej doprowadziły do ujawnienia kontaktów ze Służbą Bezpieczeństwa o. Konrada Hejmo z zakonu dominikanów, księdza Michała Czajkowskiego i księdza Mieczysława Malińskiego. Dzięki stopniowemu udostępnianiu przez IPN dokumentów „osobom pokrzywdzonym”, zaczęły wypływać kolejne przypadki. Ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski, podobnie jak ks. Henryk Jankowski, odkryli w dokumentacji, jaką zgromadziła na ich temat Służba Bezpieczeństwa, licznych konfidentów, wśród których znajdowali się również przedstawiciele duchowieństwa, niekiedy wysocy rangą. W roku 2006 podejrzenia zaczęły zagęszczać się także wokół niektórych biskupów. Z różnych powodów najbardziej spektakularny stał się przypadek JE abpa Stanisława Wielgusa, który stał się głównym bohaterem największego chyba w Kościele polskim skandalu od tzw. sprawy Macocha. Charakterystyczne jest jednak to, że media, tak pryncypialne w przypadku abpa Wielgusa, okazały niesłychaną łatwowierność i absolutny brak zainteresowania wyjaśnieniem podejrzeń kierowanych wobec innych przedstawicieli hierarchii, np. tajnego

współpracownika SB o pseudonimie „Filozof”. Skłania to do podejrzeń, iż nagłośnienie sprawy abpa Stanisława Wielgusa mogło mieć dwa cele: po pierwsze — zablokowanie jego nominacji na stanowisko ordynariusza Archidiecezji Warszawskiej, zarówno jako tajnego współpracownika, ale jeszcze bardziej — jako wybitnego reprezentanta nurtu konserwatywnego w Kościele. Po drugie — przez pokazanie skali możliwej kompromitacji chciano wepchnąć Kościół, a w każdym razie hierarchię, do obozu antylustracyjnego. Bieg wypadków pokazuje, że obydwa cele zostały osiągnięte, zaś przyglądając się już z dystansu przebiegowi całej operacji, można powziąć również podejrzenie, iż lustracyjny test Kościoła w Polsce mógł być zaplanowany i monitorowany przez wpływowe środowiska Unii Europejskiej, przeznaczające Kościołowi w Unii status socjalno-charytatywnej organizacji pozarządowej bez jakichkolwiek pretensji do przywództwa moralnego.

Wiele zamieszczonych tu publikacji ma charakter osobisty. Trudno było tego uniknąć, skoro od samego początku zaangażowałem się w popieranie lustracji, upatrując w niej posunięcie konieczne dla odsunięcia od państwa niebezpieczeństw w postaci sekretnego wymuszania na polskich dygnitarzach ustępstw pod groźbą ujawnienia agenturalnych epizodów w ich życiorysach. Z takim przypadkiem mieliśmy do czynienia wobec ministra Krzysztofa Skubiszewskiego, a o ilu jeszcze nie wiemy? Czy dowiemy się dopiero, gdy za te ustępstwa byłych konfidentów Polska będzie musiała płacić krwią swoich obywateli? Podczas tych batalii zetknąłem się nie tylko z objawami bezwzględnej wrogości, ale i z oparami obłudy, dosłownie aż do nieba śmierdzącymi — bo konfidenti i ich utytułowani protektorzy do swego arsenału wykrętów nie wahali się włączyć tego, co najświętsze, niczym Pani, która zabiła Pana: „Ach, pójdę aż do piekła, byleby moją zbrodnię wieczysta noc powlekła!”

Książka nie nastraja optymistycznie i nie było to moim celem. Celem, jaki mi przyświecał, było pokazanie zapisanej w moich publikacjach z ostatnich 15 lat historii batalii o lustrację w Polsce. Batalii,

którą ja sam traktowałem jako dalszy ciąg walki z komuną, do której włączyłem się w roku 1977 przystępując do Ruchu Obrony Praw Człowieka i Obywatela w Polsce — alternatywnego do KOR-u nurtu opozycji antykomunistycznej. Innymi słowy, celem tej książki jest pokazanie uwarunkowań tej walki, jej sojuszników i wrogów, pokazanie, że myśmy przynajmniej próbowali.

Stanisław Michalkiewicz

Warszawa, 29 lipca 2007 roku.

W labiryntach państwa prawnego

Ignacy Rzecki z „Lalki” mawiał: „Gdybym to ja był Panem Bogiem, ale gdzie tam marzyć o tem...”. Kierując się westchnieniem pana Ignacego postanowiłem przyjrzeć się zarzutom sformułowanym przez przeciwników sejmowej uchwały lustracyjnej, jakoby była ona niezgodna z prawem. Z tego właśnie powodu liczna grupa posłów zaskarżyła ją do Trybunału Konstytucyjnego.

Otóż, zgodnie z art. 1 ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, orzeka on o zgodności z konstytucją aktów ustawodawczych, a więc ustaw i dekretów zatwierdzonych przez Sejm, a także ustaw przed podpisaniem ich przez prezydenta. Orzeka także o zgodności z konstytucją i innymi aktami ustawodawczymi innych aktów normatywnych (aktów ustanawiających normy prawne) wydawanych przez prezydenta, naczelne i centralne organy administracji państwowej oraz inne naczelne i centralne organy państwowe. Trybunał Konstytucyjny wydaje orzeczenia w sprawach oceny legalności takich i tylko takich aktów.

Tymczasem uchwała lustracyjna nie jest aktem normatywnym, bo nie ustanawia żadnej normy prawnej. Po drugie — została przyjęta przez Sejm, który — zgodnie z art. 20 konstytucji — jest „najwyższym organem władzy państwowej”. „Naczelnym” organem władzy państwowej jest — zgodnie z art. 38 konstytucji — Rada Ministrów, podobnie jak Sąd Najwyższy, który z kolei — zgodnie z art. 61 konstytucji — jest „naczelnym” organem sądowym. Czy oznacza to, że Trybunał Konstytucyjny powinien uznać się za niewłaściwy w tej sprawie? Tak by to wyglądało, ale gdzież bym tam śmiało sugerować cokolwiek Trybunałowi. Ot, po prostu głośno sobie myślę.

Wicemarszałek Sejmu, pan Kurczewski, poprosił pana wicemarszałka Zycha, by nie podpisywał uchwały lustracyjnej przed powrotem pana marszałka Sejmu z ciepłych krajów. Tymczasem art. 45 ust. 2 regulaminu Sejmu postanawia, że o powziętych przez Sejm uchwałach marszałek Sejmu niezwłocznie zawiadamia prezydenta i prezesa Rady Ministrów oraz przesyła im podpisane przez siebie teksty tych uchwał. Wynikałoby z tego, że podpis marszałka Sejmu oznacza to tylko, iż Sejm rzeczywiście podjął uchwałę takiej to a takiej treści. Ponadto wynika, że podpis ów i przekazanie tekstu uchwały prezydentowi, i premierowi powinno nastąpić „niezwłocznie”, czyli bez nieuzasadnionej zwłoki. Czy zwłoka z podpisaniem i przekazaniem prezydentowi i premierowi tekstu uchwały, jaka wystąpiła wskutek prośby pana wicemarszałka Kurczewskiego, jest uzasadniona? Jeśli tak, to właściwie czym? Oto pytania.

Ale przeciwnicy uchwały lustracyjnej podnieśli również inne zastrzeżenia. Przede wszystkim, ich zdaniem, jest ona sprzeczna z art. 3 konstytucji, który stanowi, że wszystkie organy państwowe działają na podstawie przepisów prawa. Otóż Sejm ma prawo podejmować uchwały. Podejmując uchwałę lustracyjną działał zatem w granicach konstytucyjnych kompetencji. Czy jednak adresując ją do ministra spraw wewnętrznych nie naruszył prawa? Art. 1 ustawy z 6 kwietnia 1990 r. o ministrze spraw wewnętrznych stanowi, że jest on naczelnym organem administracji państwowej realizującym politykę państwa w dziedzinie ochrony jego bezpieczeństwa. Wiadomo, że możliwość istnienia agentów czy byłych agentów we władzach państwowych może nastroczać pewne problemy z zakresu bezpieczeństwa państwa. Ale minister spraw wewnętrznych tylko „realizuje” politykę państwa w tym zakresie, bo jest organem wykonawczym. Formułowaniem tej polityki zajmuje się m.in. Sejm, który w uchwale lustracyjnej wyraził dość jasno swoją wolę i polecił ministrowi wolę tę wykonać. Jak dotąd zatem — wszystko jest w porządku.

Przeciwnicy uchwały lustracyjnej podnoszą jednak zarzut, że polecenie ujawnienia agentów sprzeczne jest z art. 21 ustawy z 1990 roku

o policji i art. 12 ustawy z 1990 roku o Urzędzie Ochrony Państwa. O czym mówią te przepisy? Są one sformułowane identycznie i mówią, że nie wolno udzielać informacji o obywatelu uzyskanych w czasie wykonywania czynności operacyjno-rozpoznawczych do wiadomości osób lub instytucji innych niż sąd lub prokurator, a także wykorzystywać ich przeciwko obywatelom w celu innym niż ściganie karne. Co to oznacza? Tyle, że przeciwnicy uchwały lustracyjnej chyba nie dość dokładnie zapoznali się z treścią przepisów, na które się powołują. Przepisy te bowiem istotnie zakazują udzielania informacji, ale nie o byłych AGENTACH, tylko informacji o obywatelach uzyskanych PRZEZ AGENTÓW czy pracowników policji lub UOP „w czasie wykonywania czynności operacyjno-rozpoznawczych”. Jest różnica, nieprawdaż? Ponadto przepisy te pozostają w pewnym związku z art. 7 ust. 2 ustawy o ministrze spraw wewnętrznych, który mówi, że minister ów może zezwolić swoim podwładnym na ujawnienie wiadomości stanowiących tajemnicę państwową lub służbową, za wyjątkiem wiadomości, o których mowa w art. 21 ustawy o policji i art. 12 ustawy o UOP. Wynika z tego, że sam minister spraw wewnętrznych mógłby ujawnić nawet takie informacje, zwłaszcza gdyby został do tego zobowiązany ustawą. Ale — jak powiedziałem — art. 21 ustawy o policji i art. 12 ustawy o UOP dotyczą zupełnie innych sytuacji niż przedmiot uchwały lustracyjnej.

Jak się zatem okazuje, twierdzenia, jakoby uchwała ta naruszała zasadę państwa prawnego, wydają się wyjątkowo nietrafione. *Ignorantia iuris nocet, quod erat demonstrandum.*

„Nowy Świat”, 3. 06. 1992 r.

Klub Grubej Kreski

Przed dwoma tygodniami powiedziałem w telewizji, że wykonanie uchwały lustracyjnej może wpłynąć na zmianę politycznej hierarchii, przynajmniej na terenie parlamentu. Wprawdzie opinia publiczna nie została jeszcze poinformowana o nazwiskach osób zajmujących stanowiska państwowe oraz piastujących mandaty posłów i senatorów, które w przeszłości były współpracownikami UB i SB, ale wystarczyło, aby dowiedziało się o tym stosunkowo wąskie grono ludzi, by doszło do natychmiastowej zmiany premiera. Zmusza to nas do rewizji poglądów na zdolności mobilizacyjne Sejmu. Wydawało się, że nie jest on zdolny do podejmowania szybkich decyzji, a przecież okazało się to całkowitą nieprawdą. Po prostu nikt nie wiedział, jaki impuls może wyzwolić energię Wysokiej Izby. Impulsem tym okazała się uchwała lustracyjna. Jeśli tak, to może by częściej takie uchwały podejmować, a wtedy Sejm pracowałby w tempie zaskakującym cały świat.

Pan premier Pawlak dokonał zmian personalnych w resortach spraw wewnętrznych i obrony narodowej, mianując na stanowiska bodajże sekretarzy stanu panów Milczanowskiego i Onyszkiewicza. Tryb tych nominacji nasuwa wątpliwości co do ich zgodności z prawem, bo prawo daje wprawdzie premierowi uprawnienie mianowania sekretarzy stanu, ale na wniosek właściwego ministra resortowego. Nie słyszeliśmy, by pan minister Macierewicz występował z takim właśnie wnioskiem personalnym, a chyba wniosek taki był niezbędny, bo Sejm podejmując uchwałę o odwołaniu rządu, powierzył mu jednocześnie pełnienie obowiązków do czasu powołania nowego rządu. Nowego rządu, jak wiadomo, jeszcze nie ma. Mimo to nawet tak

wrażliwy na przestrzeganie prawa pan poseł Ciemniowski nie rozdarł szat swoich. Milczy też pan poseł Rokita, któremu zasada państwa prawnego tak bardzo leży przeciw na sercu. Milczy nawet pani posłanka Hannelowa, co już budzi moje najwyższe zdumienie. Czyżby wszystkim „ethos” uwiązał w gardle?

Ale to są oczywiście drobiazgi, bo wiadomo, że w pośpiechu można zapomnieć nawet włożyć spodnie, a cóż dopiero pamiętać o jakichś wnioskach, a może jeszcze czekać, aż ktoś je łaskawie złoży. Dobre sobie!

Jeśli wierzyć krążącym po mieście i energicznie dementowanym pogłoskom („nie wierzę niezdementowanym informacjom prasowym” — mawiał książę Gorczakow, rosyjski minister spraw zagranicznych), liczba posłów „z listy” wystarcza do utworzenia silnego klubu parlamentarnego, może nawet najsilniejszego. Potwierdzałoby to moje przypuszczenie, że uchwała lustracyjna może doprowadzić do zmiany hierarchii klubowej.

Obserwując trudne manewry pana premiera Pawłaka wokół utworzenia rządu dziwię się, że taki klub poselski, dla którego mam już nazwę: „Klub Grubej Kreski” — jeszcze nie powstał. Zamiast zabiegać o poparcie klubu Konfederacji Polski Niepodległej, który przypomina wojska łączności ze słynnego przemówienia marszałka Józefa Piłsudskiego, wystarczyłoby, żeby „mała koalicja” uzyskała poparcie Klubu Grubej Kreski, a utworzenie rządu poszłoby jak z płatka. Sęk w tym, że posłowie ociągają się z jego utworzeniem. Nie jestem pewien, ale chyba nie powinno się zwlekać w tak dramatycznej sytuacji.

„Nowy Świat”, 11. 06. 1992 r.

Piekielne widmo Azefa

Jewno Azef, poddany rosyjski, ukradł 800 rubli i uciekł do Niemiec, gdzie zapisał się na politechnikę w Karlsruhe. Było tam grono innych poddanych rosyjskich. Jewno Azef napisał do ochrony list, w którym donosił, że w Karlsruhe jest rosyjskie kółko socjalistyczne i on może regularnie dostarczać o nim informacji. Kółka takiego nie było, ale Azef je założył w naturalny sposób stając na jego czele. Z tego kółka wyrosła dynamiczna organizacja ideowo–terrorystyczna, która nawet dokonywała udanych zamachów na rosyjskich dygnitarzy państwowych.

Inżynier Jewno Azef przez cały czas utrzymywał kontakt z ochroną informując ją o poczynaniach i zamiarach kierowanej przez siebie organizacji, chociaż nie o wszystkich. Na przykład często nie informował o przygotowywanym zamachu, ale za to potem denuncjował ochronie szeregowych wykonawców. Byli to przeważnie ludzie ideowi, a poza tym osobiście odważni. Z punktu widzenia Azefa korzyść była podwójna: i wykonywał swoje zobowiązania wobec carskiej tajnej policji (choć może niezbyt skrupulatnie), i eliminował z szeregów organizacji ludzi ideowych i odważnych. Dość długo o nic go nie podejrzewano, przeciwnie — zażywał wielkiego poważania, a pani Breszko–Breszkowska, zwana „babunią” rewolucji rosyjskiej, na jakimś zjeździe socjalistów starym obyczajem kłaniała mu się w pas.

Ale z czasem podejrzenia wokół osoby inżyniera Jewno Azefa zaczęły się zagęszczać. Próbował je odpierać apelując do lojalności członków organizacji („czy wierzycie, towarzysze, mnie, czy Rutenbergowi?”). Wierzone oczywiście Azefowi, ale do czasu. Do tego mianowicie czasu, gdy z ochrony nastąpiły przecieki, a wywiadowca

wysłany przez sąd partyjny zadepeszował, że „potwierdza najgorsze podejrzenia”. Inżynier Jewno Azef umarł bodajże w Berlinie, pozostając po wsze czasy patronem wszystkich prowokatorów.

Przytaczam tę historyjkę o inżynierze Jewno Azefie, bo oto jeden z posłów nazwał w „Życiu Warszawy” prezesa UPR Janusza Korwin-Mikke „sejmowym błaznem” z powodu zgłoszenia przezeń wniosku o podjęcie uchwały lustracyjnej. Myślę, że pan poseł, który tego określenia użył, pomylił się. Funkcja błazna polega na rozweselaniu ludzi. Nie jestem pewien, czy ujawnienie nazwisk byłych agentów dostarczyło wszystkim i każdemu takiej uciechy. Jakoś nie słychać beztróskiego śmiechu ani w Wysokiej Izbie, ani w innych miejscach. Okazuje się, że uchwała lustracyjna podjęta na wniosek posła Janusza Korwin-Mikke spowodowała ujawnienie materiałów, które wprowadzają posłów w zadumę. A przecież to dopiero początek.

Wielu ludzi gwałtownie protestowało przeciwko uchwale lustracyjnej, twierdząc m.in., że wciąga nas ona w „polskie piekło”. Otóż wypada przypomnieć, chociaż większość z nas powinna pamiętać, bo powtarza to odmawiając pacierz, że Chrystus Pan, zanim „trzeciego dnia zmartwychwstał”, najpierw „wstąpił do piekieł”. Widocznie jest jakiś związek między wstępowaniem do piekieł a zmartwychwstaniem. Być może bez uświadomienia sobie rozmiarów piekła zmartwychwstanie nie jest możliwe.

„Najwyższy Czas!”, 13. 06. 1992 r.

Winnetou poluje z hienami

Andrzej Milczanowski jest starszym panem o bladej cerze i zaciętych ustach. Niektórzy złośliwcy nazywają go ludowym komisarzem spraw wewnętrznych, ale to oczywiście nieprawda, bo pan Andrzej ma tytuł sekretarza stanu. W tym właśnie charakterze podjął działania, których efektem jest uniemożliwienie panu ministrowi Macierewiczowi wykonywania jego konstytucyjnych obowiązków. Sytuacja jest o tyle dziwna, że zgodnie z paragrafem 2. pkt 1. uchwały nr 177 Rady Ministrów z 15 listopada 1985 r. sekretarz stanu w urzędzie, w którym to stanowisko zostało utworzone, pełni funkcję pierwszego zastępcy ministra. Okazuje się, że realizacja zasady państwa prawnego, przynajmniej od dnia 5 czerwca br., polega na odwracaniu przewidzianej prawem hierarchii i podporządkowania służbowego. Jeśli tak dalej pójdzie, to kto wie, czy wkrótce nie usłyszymy, że pana sekretarza Milczanowskiego nie wpuścił do gmachu ministerstwa jego, dajmy na to, stróż nocny? Pourquoi pas? Tak to zaczynają powracać obyczaje znane z egzekutyw czy, jak kto woli, z bocznych uliczek Chicago w okresie prohibicji.

W ubiegły piątek pan sekretarz Milczanowski stwierdził publicznie, że pan Piotr Naimski wprowadził stan gotowości bojowej Jednostek Nadwiślańskich, bo polecił panu płk. Pęcko wydzielić do ochrony Radiokomiteu jakichś żołnierzy. Na dowód prawdziwości swoich twierdzeń pan sekretarz Milczanowski pokazał kartkę maszynopisu demonstrując ją z miną, jaką miał Winnetou, ilekroć udało mu się zdobyć skalp Hurona. Tak przynajmniej opisywał to Karol May.

Nawiasem mówiąc, zachowanie płk. Pęcko było — jeśli wierzyć panu sekretarzowi Milczanowskiemu — bardzo dziwne. Po pierw-

sze, miał on otrzymać od p. Naimskiego stosowne polecenie o godz. 10.30. Polecenia te miały być wykonane natychmiast. Tymczasem pan płk Pęcko naradza się z innymi oficerami do godz. 11, a szyfrogram z rozkazami wysyła dopiero o godz. 14. Co robi przez te trzy godziny? Waha się, bije z myślami? Jeśli inne rozkazy są wykonywane w takim tempie i w taki sposób, to niech Bóg ma w opiece naszą armię. Szkoda, że nie wiem, kiedy o tym wszystkim pan płk Pęcko zameldował panu sekretarzowi Milczanowskiemu. Sprawa została ujawniona dopiero w piątek 12 czerwca, a rozkazy miały być wydane 4 czerwca. Od objęcia zatem funkcji sekretarza przez p. Milczanowskiego upłynęło co najmniej 7 dni. Czy pan płk Pęcko znowu wahał się, czy złożyć meldunek i wahał się tak długo?

Ponieważ rewelacje pana sekretarza Milczanowskiego są dementowane i przez ministra Macierewicza, i przez inne osoby, można nabrać wątpliwości, czy są wiarygodne. Nie budzi natomiast specjalnych wątpliwości cel wypowiedzi pana sekretarza Milczanowskiego. Pierwszy, to szlachetny cel ujawnienia wiadomości, jakie zostały mu dostarczone, ale drugim celem jest chyba postawienie panu ministrowi Macierewiczowi i panu Piotrowi Naimskiemu zarzutu, że przygotowywali zamach stanu. Taki zarzut jest poważny, bo może zaprowadzić na szafot. Czyżby osoby zagrożone uchwałą lustracyjną doszły do wniosku, że doprowadzenie do egzekucji panów Macierewicza i Naimskiego skutecznie zniechęci wszystkich i po wsze czasy do ujawniania agentów?

A przecież pan minister Macierewicz zeznał przed komisją sejmową, że był szantażowany. Podobno też gotów jest wymienić komisji nazwisko osoby, która to robiła. Ale krążą pogłoski, jakoby komisja ta, a dokładniej pewna jej część, jakoś ociągała się z wysłuchaniem informacji na temat tej osoby. Czyżby owa część już wyrobiła sobie pogląd, że pan minister Macierewicz jest wrogiem władzy ludowej i zbrodniarzem stanu niewartym wysłuchania? Czy może ta niechęć bierze się z obawy, by zeznania pana ministra Macierewicza nie podważyły tego wyrobionego poglądu?

Być może jednak żadna część komisji sejmowej nie przyjęła z góry jakiejś tezy. Natomiast tezę taką z góry przyjęła część prasy z „Gazetą Wyborczą” na czele. Prasa ta gorliwie tropi „inspiratorów i prowodyrów” z wprawą „Trybuny Ludu”, którą mogliśmy zaobserwować i w roku 1981, i w roku 1976, i w roku 1970, i w roku 1968 i wielokrotnie wcześniej. Czyżby sygnałem do zabawy miały być ucięte głowy panów Macierewicza i Naimskiego?

„Nowy Świat”, 16. 06. 1992 r.

„Ten szum, ten krzyk, ten giewałt...”

W „Gazecie Wyborczej” kontrofensywa na całej linii. Linia jest następująca: wszystko to pic na wodę, nigdy nie było żadnych agentów, minister Macierewicz wykorzystał okazję, jaką stworzyła uchwała lustracyjna do „brudnej gry politycznej”, a w ogóle to trzeba jak najszybciej ukręcić całej sprawie łeb, objąć stanowiska „według parytetu” i spokojnie zająć się urzędowaniem.

W programie „Lewiatan”, nadanym we wtorek tuż przed północą, uczestnicy dyskusji podzielili się wyraźnie na dwa obozy. Politycy reprezentujący Unię Demokratyczną (Bronisław Komorowski i Andrzej Wielowieyski) i Kongres Liberalno-Demokratyczny (Jacek Merkel) nie odpowiedzieli wyraźnie na pytanie posła Andrzeja Urbańskiego z PC, czy są za przeprowadzeniem lustracji, czy nie. Nie potrafili też odpowiedzieć na pytanie, dlaczego, kiedy ich ugrupowania były u władzy, lustracji takiej nie przeprowadzono, a nawet torpedowano w zarodku wszelkie próby w tym kierunku idące. Brak tej odpowiedzi jest zastanawiający, tym bardziej że — co podnosił kilkakrotnie poseł Janusz Korwin-Mikke — wybrane (przez kogo?) osoby na podstawie jakiejś „martwej wizji” bobrowały sobie swobodnie po archiwach MSW. Nie przeszkodziło to przedstawicielom „ludzi rozumnych” i „profesjonalistów” atakować ministra Macierewicza za „stronniczość”, a co najmniej za „partactwo”. W „Gazecie Wyborczej” zabrał głos nawet sam ksiądz Józef Tischner, według którego lustracja potwierdza teorię, że „polska praca jest chora”.

Otóż cała ta kampania nosząca cechy dezinformacji jest możliwa tylko i wyłącznie dlatego, że minister Macierewicz czuje się związany

obowiązkiem zachowania tajemnicy państwowej i służbowej. Czuje się związany i milczy, co oczywiście ośmiela wszystkich drapichrustów.

Tak się jednak składa, że poprawność wykonania uchwały lustracyjnej bada specjalna komisja sejmowa, której członkowie, mimo czynionych im utrudnień, dotarli do dokumentów, na podstawie których sporządzona została lista byłych współpracowników UB i SB. Ze skąpych informacji, jakie przedostały się przez zasłonę tajemności, wynika, że zespół lustracyjny MSW wykonał swoją pracę skrupulatnie, zaś dokumenty, z którymi zapoznali się członkowie komisji, dają podstawę do stwierdzenia, że i lista jest prawidłowa, być może z jednym wyjątkiem.

W tej sytuacji na miejscu księdza Józefa Tischnera wstrzymałbym się z pochopnym formułowaniem tezy, jakoby polska praca była chora, „także w wiadomym urzędzie”. Wstrzymałbym się przynajmniej do czasu ogłoszenia wyników śledztwa przez komisję sejmową. Cóż bowiem w przeciwnym wypadku mielibyśmy sądzić o zdrowiu pracy księdza-filozofa, który swoje teorie filozoficzne buduje na „faktach prasowych”?

Otóż, żeby uchronić naszych filozofów przed budowaniem teorii na wątpliwych przesłankach, a przede wszystkim — by opinia publiczna przestała być wreszcie przedmiotem manipulacji i dezinformowania ze strony kreatorów „faktów prasowych”, niezbędne jest ujawnienie rezultatów dochodzenia prowadzonego przez komisję sejmową. W końcu jeśli wyborcy mają wybierać właściwe osoby (czego słusznie domaga się od nich ksiądz Józef Tischner), to muszą wiedzieć, które osoby są właściwe. Jeśli mówimy o szacunku dla ludzi, to elementarnym wymogiem tego szacunku jest mówienie ludziom PRAWDY. Mam nadzieję, że nie muszę do tego przekonywać księdza katolickiego.

Dowodem szacunku władz państwowych do społeczeństwa, które je wybrało, będzie przedstawienie mu całej prawdy. Państwo nie jest własnością polityków z tej czy tamtej partii. Państwo jest nasze i mamy prawo wiedzieć, co politycy z nim wyprawiają. Konieczność zacho-

wania tajemnicy państwowej (która przybiera postać groteskową)
w tej sprawie powinna ustąpić przed koniecznością poinformowania
o wszystkich okolicznościach konstytucyjnego suwerena — narodu.

„Nowy Świat”, 20–21. 06. 1992 r.

Agenci odetchnęli z ulgą

Po uchwaleniu przez Sejm ordynacji wyborczej Unia Polityki Realnej zwróciła się do Państwowej Komisji Wyborczej z protestem z powodu uprzywilejowania w ordynacji mniejszości narodowych. Podnosiliśmy, że jest to oczywiście sprzeczne z konstytucyjną normą deklarującą równość obywateli wobec prawa bez względu na narodowość. Państwowa Komisja Wyborcza skierowała nasz protest do Trybunału Konstytucyjnego. Trybunał nie zajął się jednak tą sprawą, mimo oczywistej sprzeczności ordynacji z konstytucją. Na osłodę otrzymaliśmy tylko odpowiedź dyrektora biura Trybunału Konstytucyjnego, z której wynikało, że równość wobec prawa ma miejsce wówczas, gdy prawo traktuje obywateli nierówno. Jak pisał Sławomir Mrożek, „prawdziwa wolność jest tam, gdzie nie ma zwyczajnej wolności”. Było to, nie ukrywam, niemiłe zaskoczenie dla nas, którzy władzę sądowniczą cenimy bardzo wysoko i dążymy do zwiększenia jej roli w systemie władz państwowych. Cenimy, ale też i wysokie stawiamy wobec niej wymagania.

I oto 19 czerwca, na wniosek grupy posłów nieistniejącego jeszcze formalnie Klubu Grubej Kreski, Trybunał Konstytucyjny podjął postępowanie w celu stwierdzenia legalności uchwały Sejmu z 28 maja, zwanej uchwałą lustracyjną. Byłem obecny na tej rozprawie i wyznam szczerze, że od czasu sprawy, podczas której z inicjatywy bodajże kapitana Kłaka ze Służby Bezpieczeństwa zostałem skazany na grzywnę i konfiskatę mienia, nie uczestniczyłem w podobnej komedii sądowej. Powiem więcej: w sprawie, w której zostałem skazany, było nawet więcej sensu, bo ja naprawdę przekroczyłem „surowe prawa stanu wojennego”. Nie zmniejsza to naturalnie mojego szacunku dla wła-